POLSKA WALCZĄCA

TYGODNIK GROMADY ŻOŁNIERSKIEJ

LA POLOGNE EN LUTTE — HEBDOMADAIRE MILITAIRE — PRIX UN FRANC

W OBOZIE POLSKIM. DNIA 17 GRUDNIA 1939 r. NUMER TRZEC

KOLEŻEŃSTWO BRONI

Mimo, iż zasadniczo nie dajemy w „Polsce Walczącej" przedruków z innych pism — czynimy odstępstwo dla artykułu ogłoszonego w „Wiarusie Polskim" z dnia 13 grudnia ze względu na doniosłość spraw, które porusza. Artykuł przedrukowujemy w skróceniu.

Red.

Ze wszystkich koleżeństw na świecie najmocniejsze, najbardziej wiążące jest koleżeństwo broni. Z pamiętników żołnierskich, ze wspomnień wojennych wynika jasno, że niema silniejszej więzi nad tę, którą stwarza wspólna służba.

Pomimo, że wojsko oparte jest na hierarchji, a więc na nierówności, przedziwnie układa się w niem życie. Zależność wojskowa jest dużo mniej dotkliwa, niż wszelka zależność cywilna, bowiem opiera się na wzajemnej zależności wszystkich od siebie, na całym systemie, w którym niema miejsca na niespodzianki.

Trzeba sobie te rzeczy dobrze uświadomić w chwili, gdy tworzy się na nowo, odbudowuje się z gruzów armję narodową. Trzy mamy elementy, z których się ta armja składa: wojskowi zawodowi, wojskowi z rezerwy i nowo zaciężni ochotnicy oraz poborowi. Od zgrania się tych czynników w harmonijną całość zależeć będzie wartość armji polskiej na obczyźnie.

Najmniej przychylni ludzie, studjując działania wojska polskiego podczas ostatniej wojny, przyznają, że wojsku samemu nic podczas niej zarzucić nie można. Wojsko biło się do ostatniej chwili z olbrzymiem poświęceniem, w miarę swoich możliwości technicznych — z ogromną odwagą, spełniło całkowicie to zadanie, którego odeń oczekiwano. W każdym razie, można stwierdzić, że we wszystkich wypadkach, gdzie jakiekolwiek rozkazy zostawiały wojsku swobodę działania, walczyło ono, pod dowództwem oficerów zawodowych, znakomicie, przedłużając opór do ostatnich granic, bijąc się nawet tam, gdzie sytuacja wydawała się rozpaczliwa. I dlatego można już dziś powiedzieć, że korpus zawodowy wojskowy polski, tak oficerski, jak podoficerski, zdał egzamin bojowy na dobry stopień. Rzadkie były wypadki, aby kto nie wypełnił włożonego nań zadania. Te wypadki będą sprawiedliwie sądzone; w tej chwili niema możności przeprowadzenia procesu. Natomiast jest powód do najdalej posuniętej przezorności, i ta przezorność jest całkowicie stosowana.

Innym zupełnie typem są oficerowie rezerwy. Poza armją regularną od lat, awansujący po ćwiczeniach tylko do stopni względnie niższych, oficerowie ci wzięli na siebie ciężki trud dowodzenia najniższemi jednostkami wojska i obowiązek swój spełnili do końca. Nawet ci, których podczas przerwanej mobilizacji, nie zdążono do szeregów powołać, nawet ci, do ostatka, poza oddziałami czynnemi, starali się wykonać swoją rolę oficerską. Słuszną jest rzeczą przeto, aby im zostało to zapamiętane.

To, co się mówi tutaj o oficerach rezerwy, dotyczy również i podoficerów. Ofiarni, pełniący swój ciężki obowiązek sumiennie, potrafili oni zrównać się ze swoimi kolegami ze służby stałej, zasłużyli sobie na stanowisko i tytuł podoficerski całkowicie. Pozostawiając dowódcom oddziałów możność kwalifikowania swoich podkomendnych, którą to możność prawa wojskowe im nadają, można ustalić dla podoficerów rezerwy moralne prawo do zrównania ich po przeszkoleniu. z podoficerami służby stałej. I dlatego ufać należy, że niebawem ustaną wszelkie nierówności w tym względzie, naturalnie — po indywidualnej ocenie kandydatów.

Między oficerami i podoficerami, znajdują się aspiranci do stopnia oficerskiego, po polsku zwani podchorążymi. Jest rzeczą niewątpliwą, że przeszedłszy kurs wyszkolenia oficerskiego, będą mieli prawo do awansu w pierwszej linji. Rzecz zrozumiała, że przed nimi muszą iść ci podchorążowie, którzy w tym stopniu, przeważnie na funkcjach oficerskich, przebyli kampanję wrześniową w Polsce. Ci muszą być traktowani jako pierwsi z kolei.

Pozostaje sprawa ochotników i nowo zaciężnych z tytułu prawa. Ochotnicy są ludźmi, którzy wykazali swoją ideowość przez sam fakt zgłoszenia się do wojska, gdy Ojczyzna tego potrzebowała. Ta sama Ojczyzna, w postaci swoich władz zwierzchnich, będzie im to pamiętała. Przez fakt stawienia się do służby przed innymi, będą oni w możności stanowienia kadry dla tworzącej się armji. Inni przychodzą po nich, posłuszni rozkazowi władz swego kraju, zresztą jak wiadomo, przyjęci w najwyższym procencie do spełnienia powinności wojskowej. Znajdują serdeczne przyjęcie. które regułą było w wojsku polskiem, znajdują stanowisko prawdziwych żołnierzy Rzeczypospolitej. A to niemały zaszczyt i niemałe słowo.

A teraz kilka uwag na temat wzajemnego stosunku tych wszystkich czynników, które armję polską na obczyźnie tworzą. Dziś niema armji dawnej, zawodowej, niema także przywilejów, stawiających żołnierzy służby stałej ponad rezerwistów, ochotników, lub nowych poborowych. Jak stwierdził to Wódz Naczelny w wielu swoich przemówieniach, jedynie czynnik kompetencji i bezinteresownej pracy dla Ojczyzny, może stanowić o zajmowanem czasowo stanowisku. Dlatego należy wyraźnie zdać sobie sprawę, że gdy Polska politycznie kontynuuje swój byt państwowy, korygując jedynie swoje rządy, czyniąc je sprawiedliwemi, dostępnemi dla ogółu i prawdziwie demokrarycznemi, wojsko robi się od nowa. Zostają tradycje, zostaje nimb krwi przelanej, ale ci, co są w wojskowych szeregach, są wszyscy sobie równi. Jak powiedział Wódz Naczelny jedynie kompetencja i ideowość mogą rozstrzygać o funkcjach i przydziałach W walce, którą toczymy, jedynie czynnik celowości może być brany pod rozwagę, łącznie z czynnikiem odpowiedzialności, o ile możemy w tej chwili ten ostatni dyskutować. Nie jesteśmy bolszewikami; rozumiemy odpowiedzialność, ale też nie będziemy stosowali metody sądów ludowych, czy innych improwizacji. Za wielkie błędy — wielka kara, którą wymierzy sam naród, wolny i niepodległy, w osobie swoich przedstawicieli.

Wszyscy ludzie dobrej woli są powołani, aby pomagać do zgody i harmonji, a zwalczać wszystko, co by mogło nas dzielić. Wojsko polskie już powstało. Z każdym dniem staje się silniejsze i większe. W naszych rękach jest moc, aby uczynić je niezwalczonem.

Antoni Bogusławski

WIESCI Z OKUPOWANEJ POLSKI

Pomimo chińskiego muru, jakim okupanci oddzielili Polskę od świata, coraz więcej wieści stamtąd napływa. Przenikają one poprzez pisma zagraniczne, agencje prasowe, radjo i t. p. ale przedewszystkiem nadchodzą drogą prywatną od osób, którym udało się opuścić Polskę. Jakkolwiek wiadomości te nieraz zawierają pewne sprzeczności w szczegółach, to jednak można na ich podstawie odtworzyć sobie obraz straszliwych warunków, w jakich żyje Polska pod podwójną okupacją. Oto w telegraficznym skrócie wiązanka informacyj z kraju, z okupacji niemieckiej; o rosyjskiej napiszemy innym razem.

OBŁĄKAŃCZA „POLITYKA" LUDNOŚCIOWA

Naczelnem dążeniem Niemców jest wytworzenie chaosu ludnościowego w Polsce tak, by w nowoczesnej wędrówce ludów zatrzeć a przynajmiej zamazać charakter etniczny ziem polskich. W szczególności idzie Niemcom o natychmiastowe wytworzenie pokostu niemieckiego w zachodniej części Polski. W tym celu sprowadza się do Polski Niemców z wszystkich możliwych krajów Europy i z samej Rzeszy, wyrzucając równocześnie w najbrutalniejszy sposób ludność polską, którą się przytem w bezprzykładny sposób obrabowuje. Takiej przymusowej germanizacji uległa przedewszystkiem Gdynia, której nazwę zmieniono na Gotenhafen. Podobnie dzieje się w Poznańskiem, do którego skierowano już 180 tysięcy Niemców z nakazem zgermanizowania miasta Poznania; to samo powtarza się na Pomorzu, gdzie wywłaszczanie ziemi polskiej na rzecz Niemców znajduje się w pełnym toku, nasyła się tu masowo nauczycieli Niemców, sprowadza niemieckich rzemieślników i t. d. Szczególnie jaskrawo oświetliła cele niemieckie mowa ostatnia gauleitera Forstera w Toruniu, który zapowiedział, że do kilku lat zniknąć musi ostatni ślad polskości w tem prastarem mieście polskiem.

Ale nie tylko na ziemiach zachodnich przeprowadza się germanizację. Dość powiedzieć, że do krakowskiego i żywieckiego sprowadza się kilkadziesiąt tysięcy Niemców, że do Łodzi i okolic skierowano osadników niemieckich. Trzeba tutaj nadmienić, że z ziem dawnego zaboru pruskiego i niektórych przyległych części innych dzielnic (n. p. Kaliskiego, na północy Ciechanowieckiego, a ostatnio nawet Łodzi), utworzyli Niemcy «prowincje Rzeszy», podczas gdy z reszty okupacji niemieckiej uformowano «generał-gubernatorstwo» ziem okupowanych. Współczesnym «Beselerem» został minister Rzeszy dr. Frank.

Dla zaostrzenia spraw ludnościowych, politycznych i społecznych w Polsce przeprowadzają obecnie okupanci na terenie Lubelszczyzny akcję masowego osiedlania Żydów, pochodzących zarówno z okupowanego terenu, jak i z Rzeszy, Czech, Moraw i Austrji. Niektóre źródła niemieckie mówią, że Niemcy chciałyby tam osiedlić z biegiem czasu trzy miljony Żydów. Uchodźców żydowskich przesyła się na Lubelszczyznę bez żadnych środków do życia, a równocześnie usuwa się bezlitośnie miejscową ludność polską, pozbawiając ją mienia. Godzi się nadmienić, że woj. Lubelskie liczyło ostatnio na obszarze 31 tys. km. kw. — 2.109 tys. Polaków, 259 tys. Żydów i 16 tys. Niemców.

Dalszym aktem obłąkańczej polityki narodowościowej Niemców w Polsce jest próba stworzenia nowego narodu... góralskiego na Podhalu. Znamienne jest, że organ Goeringa «Esener Nationalzeitung» podaje zupełnie na serjo wiadomość, iż generał gubernator Frank przyrzekł delegacji góralskiej w Zakopanem... wyzwolenie z pod jarzma polskiego. Wiadomo skądinąd, że na początku wojny Niemcy ofiarowali Zakopane Słowakom, później ich stamtąd usunęli, a obecnie ofiarowują Słowakom polski Śląsk Cieszyński.

Szczególną wreszcie wymowę mają pogłoski, silnie rozpowszechnione w Małopolsce, o formowaniu przez Niemców legjonu ukraińskiego o charakterze antypolskim i... antybolszewickim. Legjon ten ma składać się z jeńców polskich pochodzenia ukraińskiego i ma wpłynąć na zmianę nastawienia ukraińskiego przeciwko Niemcom. Niemców drażnią wiadomości o złagodzeniu przeciwieństw polsko-ukraińskich, o rzekomych rozmowach metropolity Szeptyckiego z gen. Januszajtisem w sprawie wspólnej obrony dóbr narodowych i religijnych przed okupantami. Niemcy pragną więc zaognić spory narodowościowe na ziemiach polskich. Tworzenie tego legjonu rzuca pozatem charakterystyczne światło na stosunki pomiędzy obu okupantami gnębiącymi Polskę.

POD OBUCHEM STRASZLIWEGO UCISKU I NĘDZY

Tymczasem cała ludność żyje pod obuchem straszliwego ucisku i nędzy. Ukazały się dekrety o pracy przymusowej, do której zaciąga się ludność od 17 do 45 roku życia, wydaje się zarządzenia piętnujące ludność polską jako upośledzoną w stosunku do Niemców, bezwzględnie egzekwuje się na rzecz Niemiec podatki, ogałaca kraj z żywności, maszyn, urządzeń i t. p. Dochodzi do tego, że w niektórych miejscowościach n. p. w Ostrowiu Mazowieckim nakazano Polakom nosić na ubraniach żółte łaty z czerwoną obszywką, a Żydom łaty żółte, podczas gdy w innych miejscowościach (n. p. we Włocławku przemianowanym na Leslau) to napiętnowanie dotyczy tylko Żydów. Tych ostatnich zresztą gnębi się uporczywie na terenie całej okupacji, przyczem doszło do pogromów zorganizowanych przez Niemców w Łodzi, w Piotrkowie, Dęblinie i t. d. W niektórych miastach, a przedewszystkiem w Warszawie stworzono «ghetto» mieszkaniowe.

Szczególnie okrutnemu prześladowaniu podlega na terenie okupacji niemieckiej kościół katolicki i duchowieństwo, co jednak wzmaga religijność ludu, wypełniającego szczelnie kościoły. Z Gdyni n. p. wywieziono wszystkich księży, pozostawiając w stutysięcznem mieście jednego jedynego kapłana polskiego. Z pośród episkopatu uwięziono ks. biskupa lubelskiego Fulmana, sufragana poznańskiego ks. biskupa Dymka, ks. bisk. Górala i ks. bisk. Sokołowskiego.

Ludność cierpi głód a drożyzna rośnie. Wprawdzie ustalane są ceny maksymalne n. p. w Warszawie lub Krakowie, ale towarów po tych cenach kupić nie można. Ludność od świtu do zmierzchu stoi w ogonkach.

W WARSZAWIE

Jeśli idzie o szczegóły dotyczące większych miast na terenie okupacji to najgorzej bodaj przedstawia się Warszawa. Do napół zburzonego miasta (40% domów przestało istnieć) napłynęło ostatnio wielu uchodźców, tak że Warszawa liczy blisko 2 miljony ludności. Trudności mieszkaniowe ogromne. W ocalałych domach mieszczą się przedewszystkiem przybysze z Niemiec, zwłaszcza wojskowi. Żywności brak — są tylko drogie kartofle. Warunki zdrowotne pogarszają się z dnia na dzień. Ogrody zamienione są na cmentarze. Mimo to wszystko, nastrój ludności jest niezłomny, a wszyscy wierzą w rychły kres panowania niemieckiego i klęskę Trzeciej Rzeszy.

W KRAKOWIE

Kraków jest pusty i wyludniony. Uniwersytet Jagielloński jest zamknięty, podobnie jak przeważna część szkół średnich; po godzinie 10-tej wieczorem wszelki ruch zamiera. Prasy niema, poza czterostronicowem wydawnictwem, prowadzonem przez okupantów w dawnym gmachu I. K. C. Dziennikowi temu wolno tylko przedrukowywać wiadomości z «Kattowitzer Zeitung» i «Wanderera». Zycie kulturalne zamarło zupełnie, w mieście panuje wielki smutek i przygnębienie. Szczególnie bolesne wrażenie wywiera ogałacanie Krakowa ze skarbów sztuki: ostatnio z kościoła Marjackiego, wywieziono ołtarz Wita Stwosza.

W POZNANIU

Poznań poddany naciskowi germanizacyjnemu zamknął się w sobie i nie utrzymuje żadnych stosunków z okupantami. Zniszczeń z czasów walk jest stosunkowo niewiele, natomiast symbolem zachowania się Niemców po wejściu do miasta, było wysadzenie pomnika Serca Jezusowego. Poznań, podobnie jak i inne miasta polskie, zalany jest policją jawną i tajną.

W ŁODZI

W Łodzi, gdzie pozostały pewne zapasy materjałów tekstylnych kwitnie najprymitywniejsza forma handlu wymiennego. Żywności bowiem brakuje i ludność nabywa ją z trudem, płacąc towarami. Magistrat wydał bony złotowe, co jednak nie usunęło trudności. Pomiędzy gnębioną ludnością a okupantami niema żadnych stosunków.

SYSTEMATYCZNY RABUNEK I GWAŁTY

Zycie gospodarcze okupowanej Polski jest systematycznie niszczone, nietylko przez gwałty fizyczne i wywożenie materjałów oraz maszyn, ale także przez gospodarkę t. zw. powierników, którzy prowadzą niemal wszystkie większe przedsiębiorstwa. W takiej n. p. Gdyni «powiernicy» oświadczyli, że gospodarzą na «rachunek Rzeczypospolitej». Koleje prawie nie funkcjonują z wyjątkiem najważniejszych połączeń, podróże ludności są niemal wykluczone, a jeździć można tylko do granic Rzeszy.

Jeśli idzie o gwałty fizyczne względem ludności, stosowane od samego początku, to świadczą o nich pierwsze z brzegu przykłady wzięte z tysięcznych relacyj naocznych świadków. W kościele Matki Boskiej w Radomiu zamknięto 2000 osób, przewa-

żnie jeńców wojennych i trzymano ich tam 2 doby nie pozwalając pod żadnym pozorem na opuszczenie kościoła choćby na chwilę. W Janowie Lubelskim władze zmusiły siłą całą ludność — w większości kobiety i dzieci — do zejścia do piwnic, poczem obrzucono domy granatami. Spowodowało to śmierć kilkuset ludzi. W dzielnicy żydowskiej w Warszawie zmuszano mężczyzn do tego, by bili kobiety, poczem kobiety musiały bić mężczyzn. Wszędzie bierze się zakładników, grożąc najostrzejszemi represjami na wypadek niedotrzymania ustalonych terminów. W Gdyni dano godzinę czasu na znalezienie stu zakładników.

KRWAWY SZAŁ...

Ostatnie tygodnie przyniosły dalsze spotęgowanie się terroru niemieckiego, który przemienił się już w krwawy szał. Ofiarą tego paroksyzmu padają przedewszystkiem nasze ziemie zachodnie. W Wielkopolsce i w Poznaniu dokonywa się masowych rozstrzeliwań wśród inteligencji i ziemiaństwa, przyczem krwawi siepiacze ustanawiają poprostu kontyngenty ofiar zależnie od wielkości danej osady. W jednym tylko tygodniu rozstrzelano 334 osoby. Egzekucje patrjotów polskich ze wszystkich warstw społecznych odbywają się we wszystkich niemal miastach powiatowych, a nawet po wsiach. W Kościanie na rynku rozstrzelano miejscowego proboszcza i 48 innych Polaków. W Wolsztynie urządzono egzekucję 20 Polaków w nocy przy świetle reflektorów: członkowie S. S. budzili wszystkich mieszkańców okolicznych domów, wzywając ich, by przypatrywali się egzekucji. W Lesznie rozstrzelano około 100 Polaków. W Bydgoszczy rozstrzelano 134 gimnazjastów polskich. W Gnieźnie rozstrzelano 14 robotników Polaków.

Pod kulami patroli egzekucyjnych zginęli m. i. znani działacze zajmujący czołowe stanowiska w życiu gospodarczem i społecznem: Edward Potworowski, Tomasz Korzeniowski, Mieczysław Chłapowski, Jan Zółtowski, Stanisław Karłowski, Jan Szołdrski, Grocholski, Poniński, prez. Barciszewski, kanonik ks. Zabłocki, prez. Jankowski z Inowrocławia, Stanisław Zółtowski z Kadzewa, Franciszek Zółtowski z Godurowa, hr. Mielżyński, Henryk Grocholski, Kościelski, Dziemdowski, Benning, Madaliński, Speichert, hr. Kwilecka, Doerffer.

Prócz tego odbywają się masowe aresztowania. Tak np. zostali aresztowani m. in. Alfred Chłapowski, b. ambasador Polski w Paryżu; Adolf Bniński, b. wojewoda poznański, b. kandydat na Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz prezes Akcji Katolickiej; książe Olgierd Czartoryski z żoną, z domu arcyksiężniczką austrjacką, Przyłuski z żoną, i Czartoryska z Gołuchowa. Szereg z pośród tych aresztowanych przebywa w strasznych warunkach w obozie koncentracyjnym w Dobrzycy. Los innych, m. in. ambasadora Chłapowskiego jest nieznany. Wiele pań, n. p. małżonkę b. ambasadora Chłapowskiego osadzono w obozie koncentracyjnym (obok prostytutek!!)

Dodajmy do tego masowe wywłaszczanie Polaków, nietylko ziemian, ale także i chłopów — zagrabiono w samej tylko Wielkopolsce 75.000 gospodarstw chłopskich, a właścicieli wysiedlono do Kongresówki — a zrozumiemy, jaką gehennę przechodzą nasi rodacy w Wielkopolsce.

Jeśli chodzi o wybrzeże polskie, to nowa fala krwawych prześladowań przelewa się właśnie w tej chwili, w której słowa te oddajemy do druku. Według otrzymanych przez władze nasze pewnych wiadomości, Niemcy urządzili formalną rzeź ludności polskiej w Gdyni, zwłaszcza wśród inteligencji polskiej. Rozstrzelanych zostało trzysta kilkadziesiąt osób, między innemi ponieśli śmierć: dyrektor portu gdyńskiego Łęgowski, zastępca komisarza rządu w Gdyni Szaniawski, referent komisarjatu rządu Jagodziński, naczelnik wydziału bezpieczeństwa Karwowski i wielu innych.

* * *

Podczas gdy na ziemiach zachodnich odbywa się proces fizycznego tępienia żywiołu polskiego w reszcie Polski odbywa się proces kulturalnego wyjaławiania narodu. Tak n. p. w Krakowie wezwano wszystkich profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego na wykład p. t. „Państwo, a nauka", a gdy uczeni przybyli do auli oświadczono im, że są aresztowani, gdyż chcieli bez wiedzy władz uruchomić uczelnię. Wszystkich obecnych w liczbie 160 (w tem docenci i asystenci) wywieziono do Niemiec, a kilku protestujących pobito.

Oto do czego dochodzi barbarzyństwo nowoczesnych Hunnów...

Wszystkie jednak wiadomości nadchodzące z Polski świadczą, że ludność jest głęboko przekonana o upadku przemocy i zwycięstwie sprawiedliwości.

Ludność jest także dobrze poinformowana o istnieniu rządu polskiego we Francji i o tworzeniu się Armji Polskiej przyjmując te fakty z najwyższą radością. Niezłomnego ducha podnoszą wieści o coraz skuteczniejszej dywersji i aktach oporu względem okupantów na terenie całej Polski. Z każdym tygodniem dywersja ta staje się coraz silniejsza.

Polska okupowana cierpi, walczy, trwa i czeka... K. T.

Pieśń Konfederatów Barskich

Morze się burzy, ziemia się wali,
Miesza się niebo, powietrze,
Niech się świat cały na nas obali,
Wzruszy nas, ale nie zetrze.

Wpośród tych ruin podniesiem głowy,
Z których i włos nam nie spadnie,
Bo wszystkich przygód naszych osnowy
Są w ręce, która wszem władnie.

Mam ufność, iże, jak niegdyś w Kanie,
Gdy Matki zajdzie przyczyna,
Ta trosków woda winem się stanie,
Przyjdzie Jezusa godzina.

Jeszcze dni kilka wytrzymać trzeba,
Cna Betulija ściśniona!
Doznasz, że Judyt przybędzie z nieba
I Holoferna pokona.

Gdy zawołamy: ratuj nas Panie!
Giniemy; burza nas kłóci, —
Wnet niby ze snu Jezus powstanie,
Burzę i wiatry ukróci.

Co mówię, i dzień jeden to sprawi,
Że na Jozuy wzdychanie
Słońce nie zajdzie, Bóg lud swój zbawi
A nieprzyjaciół nie stanie!...

(Około 1770 r.)

Neutralni

„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna". To hasło stało się hasłem Europy w chwili, gdy Polska, a dwa dni później i jej sojusznicy stanęli do wojny z Niemcami. „Neutralność" była naczelnem hasłem wszystkich państw średnich i małych, o neutralności tej zapewniały wszystkie deklaracje ich mężów stanu. Marzyli oni o „lokalizacji" wojny tak samo, jak się zlokalizowało wojnę abisyńską, wojnę w Chinach, wojnę hiszpańską. Trudno się nawet temu dziwić. Wojna jest rzeczą tak straszną, że zrozumiałe jest marzenie, by zatrzymała się ona u progu własnego kraju, by pożogę jej wstrzymały słupy graniczne.

Inną jest jednak rzeczą marzenie, a inną rzeczywistość. I powoli zaczyna się okazywać, że „neutralność" w wielkiem zmaganiu się dzisiejszem nie jest rzeczą tak prostą i łatwą. Pierwsze przekonały się o tem kraje bałtyckie. Pozostały „neutralne" w chwili, gdy nawała niemiecka runęła na Polskę. Co nie przeszkodziło bynajmniej, że zmuszono je do zrezygnowania z zupełnej niepodległości, do przyjęcia wojsk sowieckich na swe terytorjum, do przyjęcia roli wasalów Rosji. I oto dzisiaj aeroplany finlandzkie bombardują estońskie miasta Baltisk Port, bo z lotniska w Baltisk Port wylatują aeroplany sowieckie, siejące mord nad Helsinki. Gdzież więc jest „neutralność estońska"? „Neutralna" była Finlandja — i krwawi się dziś osamotniona w walce z olbrzymem rosyjskim, bo jej sąsiedzi nadal pozostają neutralni.

Zaczyna się jednak w krajach skandynawskich budzić świadomość, że może jednak „neutralność" nie jest najlepszym pancerzem ochronnym. Zaczynają zapytywać się, czy po usadowieniu się Rosji w Finlandji nie będą zdani na łaskę i niełaskę Hitlera i Stalina i czy nie będą musieli poddać się wszystkim ich rozkazom do utraty istotnej niepodległości włącznie. I zapytują się, czy nawet to bezapelacyjne poddanie się uchroni je od wojny.

To samo powtarza się wszędzie. Holandja i Belgja były i są neutralne. Co nie przeszkodziło, że 13 listopada już był wydany rozkaz Hitlera marszu na Holandję i że wtrzymano go w ostatniej chwili, gdy król belgijski oświadczył, że w takim wypadku nie pozostanie „neutralny". Plan jednak zaniechany nie został i Niemcy wciąż jeszcze stawiają Holandji takie żądania, których nieprzyjęcie grozi najazdem niemieckim, a przyjęcie wojną z Anglją. A czyż jest inaczej na Bałkanach? Czy groźba rosyjska i niemiecka nie wiszą nad „neutralną" Rumunją? nad „neutralną" Turcją?.

Wojna jest jeszcze młoda. Trzy miesiące zaledwie dzielą nas od jej wybuchu. Jeszcze na Zachodzie nie było żadnej bitwy, więc i wojna dyplomatyczna zaledwie zaczyna wychodzić ze stadjum walk pozycyjnych. Ale już się zaczyna zarysowywać wyraźnie, że te „neutralności" tak skwapliwie głoszone nie dadzą się utrzymać. Nie tylko o państwowe interesy Francji, czy Anglji, Niemiec czy Rosji idzie bowiem w tej wojnie. Hitler, wspomagany przez Stalina wyruszył na podbój Europy, wyruszył dla zrealizowania pax germanica, *to jest panowania Niemiec nacjonal-socjalistycznych nad masą niewolniczą „narodów niższych". Nie „neutralność", a jedynie upadek Hitlera mogą uratować niepodległość państw europejskich.*

xxx

POMORZE w OGNIU

2 września.

Nie dojeżdżając do Zblewa, skierowano nas na drogę polną, most bowiem na szosie koło miejscowości Boże Pole był wysadzony w powietrze. Około godziny 10 rano dojechałem do Starogardu. Chciałem zameldować się w 2 pułku szwoleżerów, okazało się jednak, że wszystkie oddziały wojskowe i urzędy państwowe zostały ewakuowane. Nic tu więc nie miałem do szukania.

Bok mi coraz gorzej dokuczał, jakiś lekarz obandażował mnie opaską uciskającą; lecz schylać się nie mogłem i trudno mi było jechać na rowerze. Żaden pociąg już nie odchodził ze Starogardu, ani samochód, ani inny środek lokomocji — został mi tylko rower.

Skrzywiony od bólu jechałem w kierunku na Pelplin, aby potem skręcić w stronę Bydgoszczy, chciałem bowiem zameldować swej władzy, że jestem ranny, aby mnie nie uważano za dezertera. Stało się jednak inaczej, do Bydgoszczy nie zajechałem. Spotkałem auto ciężarowe, którem jechał kapitan rezerwy z Brus z zachodniej granicy niedaleko Kościerzyny — do Torunia zameldować się w wojsku. Prosiłem go o zabranie mnie z sobą. Uczynił to chętnie.

Nie dojeżdżając do Pelplina, dostaliśmy się pod ogień artylerji niemieckiej. Sytuacja na froncie przedstawiała się bowiem następująco: Niemcy w pierwszym dniu wojny zajęli Tczew i Skarszewy od strony wschodniej, Chojnice od strony zachodniej. Nad ranem dnia 2 września, Gdynia została odcięta linją niemiecką przez Kartuzy, Kościerzynę, Lipusz. Formacje niemieckie z trzech stron napierały na niewielką furtkę, jaka wytworzyła się między Tczewem a Chojnicami. Wojsk naszych w tem gardziołku nie było, lecz wycofywały się tłumy ludzi cywilnych, osadników wojskowych. Furmanki, samochody, a nawet stada bydła — wszystko to parło na południe. Nawet wał szosowy niezdarnie, powoli wycofywał się w kierunku Swiecia.

Tu właśnie dostaliśmy się pod ogień artyleryjski od strony Tczewa. Nie był to ogień obserwowany, ani też zbyt celny, działanie moralne było jednak duże. Padło parę koni i kilka osób cywilnych odniosło rany. Jeśli chodzi o mnie, nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia. Schowałem się w pierwszy lej po pocisku armatnim, zakładając, że już w to samo miejsce drugi raz nie trafi. Zostałem obsypany ziemią parę razy. Zacząłem lekceważyć wojnę, myśląc, że jeśli oni tak strzelają, to niema się czego bać. Ogień artyleryjski trwał około godziny. Nie był to ogień huraganowy, lecz pocisk za pociskiem co jakieś 3 minuty. Szkód wielkich nie zrobił, lecz ewakuację powstrzymał, zrobił się bowiem zator na szosie i nie można jej było odkorkować.

Ruszyliśmy wreszcie i przez Osie dojechaliśmy do Swiecia i zamierzaliśmy przeprawić się promem przez Wisłę do Chełmna, a stamtąd do Torunia. Zdjąłem rower z samochodu, myśląc, że jako ranny prędzej przedostanę się przez Wisłę, a tam znajdę jaki środek lokomocji i dotrę do Torunia do szpitala. I tego dnia nie zapomnę.

Syreny zaalarmowały nalot. Trzeba się chować, ale gdzie? Nie miałem strachu, bo myślałem, że lotnikowi ważniejsza jest stacja kolejowa, jakaś fabryka, a nigdy prom, którym przeprawiają się kobiety, dzieci, furmanki, samochody cywilne i grupy żołnierzy. Rower postawiłem między kupami progów kolejowych, których tam były całe stosy z zamiarem położenia się obok roweru, lecz zwróciłem uwagę, że w tem miejscu słońce zbyt silnie oświetla przedmioty. Wychodząc z założenia, że lotnik tylko to niszczy co zobaczy, zostawiłem rower, przeszedłem jakieś 15 metrów w bok, bo takiej szerokości była kupa progów i położyłem się w cieniu - na plecach, aby obserwować nalot bombowców.

Ale gdzież tam! To są przecież nasze maszyny, takie ładne, blado-niebieskie, niemal seledynowe, lecą nisko, znaków coprawda nie widać, lecz to przecież nasze, w czterech grupach po 3 w każdej, razem 12 sztuk. Szum taki miły acz groźny. Na Niemców lecą — na północ. Widzę wreszcie, że odrywają się od pierwszego z nich jakiejś paczki, ulotki, czy co innego. Nie! Nie ulotki. Straszny huk, a raczej cała serja: buh, buh, buh, buh! Wrażenie okropne. Cała serja następujących po sobie wybuchów, naliczyłem ich 7, lecz nim kończyłem liczyć ostatni już rozpoczynały się nowe. Bombardowali prom na Wiśle i przyczółek od strony Swiecia.

Przeleciały. Nad Chełmem piękny wiraż i w drodze powrotnej rozpoczęły swoje dzieło zniszczenia od początku. Kilkanaście po sobie następujących seryj i trr, trr, trr, trr, — to karabin maszynowy odezwał się z samolotu. Usłyszałem przeraźliwy gwizd i w tejże niemal chwili kupa progów obsunęła się w moim kierunku. Zostałem porządnie skotłowany. Strasznie mnie zabolała prawa ręka i odczułem uderzenie w brodę i usta. Huku wogóle nie słyszałem.

Leżąc przykryty podkładami myślę powoli: czy żyję jeszcze? Mam świadomość, lecz prawą ręką ruszyć nie mogę — przyciśnięta podkładem. W ustach czuję smak krwi, zęby i cała dolna szczęka są nieczułe. Lewa ręka jest wolna, lecz też jakby była zdrętwiała. Wkoło siebie słyszę wybuchy bomb i warkot karabinu maszynowego.

Obezwładniony do reszty, z bolącym bokiem, z uwięzioną prawą ręką zaczynam wydostawać się z pod kupy progów. Lewą ręką wyciągam prawą, ciężko mi to idzie, lecz przez siłę i ból wyjąłem. Jest cała. Zalany krwią macam językiem zęby — ruszają się. Biorę dolną wargę palcami — dziura do zębów na wylot. Wstyd się przyznać. Progi kolejowe tak mnie poczęstowały. Kawałkiem drzewa, czy kamienia mam przebitą wargę, dziś jeszcze mi tam kawałek czegoś siedzi. Ręka prawa poważnie uszkodzona, lewa też zbita, nie mogę ani jedną, ani drugą ruszać.

Zacząłem martwić się, jak będę jechał na rowerze, gdy nie znajdę innego środka lokomocji. Niema zmartwień Bomba lotnicza wybawiła mnie z kłopotu. Rower poprostu przestał istnieć. Gdy zaszedłem na miejsce, w którem go pozostawiłem zastałem tylko ogromny lej po bombie lotniczej. Ani śladu z roweru, ani śladu z mojego majątku ruchomego. Koło od roweru całe pogięte z porwanemi szprychami znalazłem w odległości 150 m., tam też leżał kawałek mego buta gumowego. Nie mam nic, ani płaszcza, ani peleryny, karabin przymocowany do roweru — znikł. Została mi tylko torba z dokumentami, którą miałem na sobie, i pistolet. W torbie miałem jeszcze 3 granaty ręczne.

Potłuczony fizycznie nie lepiej czułem się duchowo. Okropne wrażenie zrobił na mnie nalot bombowców i wybuchy bomb. Nie mogłem dobrze ocenić dzieła zniszczenia, ale zamglonemi oczami widziałem zabitych, straszliwie porozszarpywanych przez bomby. Najwięcej dostało się tym, którzy byli blisko przyczółka na Wiśle. Tam właśnie był skierowany cały ładunek bomb. Prom z całą zawartością został rozbity. Ludzie, trupy ludzkie płynęły z prądem rzeki. Na wodzie widać było pasma krwi.

Krwawiąc, dowlokłem się od przyczółka do Przechowa. Samochód stał w tym samem miejscu, w którem go zostawiłem. Zabrany też zaraz został do przewiezienia rannych przez Fordon do Bydgoszczy. Po drodze do Fordonu w samym Swieciu siostra Czerwonego Krzyża zrobila mi opatrunek twarzy i obandażowala obie ręce. Z ust od strony zębów jeszcze mi się krew sączy, a zęby ruszają mi się, jak przy szkorbucie. Oszolomiony jestem strasznie i nie wiem dokładnie, co się w koło mnie dzieje.

Minęliśmy Swiecie, lecz jakie 3, może 5 kilometrów za Swieciem zawrócili nas. tłumacząc, że samochód promem przy Fordonie nie przejedzie, bo za mala woda. Radzono nam jechać w dół Wisły w kierunku Grudziądza i tam w miejscowości Sartowice przeprawić się przez Wisłę.

Zawróciliśmy. I znowu nalot. Następna eskadra kończyła niszczenie przeprawy przez Wisłę, obrzucając bombami przy okazji stację kolejową Przechowo i koszary. Zlazlem z samochodu, przezornie chowając się w krzaki dzikiej róży, która tam

*) Zob. „Na granicy polsko-gdańskiej", druk. w 2-im numerze „Polski Walczącej".

KONKURS

Redakcja „Polski Walczącej" rozpisuje dla oddziałów rozkwaterowanych poza obrębem Obozu, konkurs na list żołnierski o temacie: „Nasza nowa kwatera". Dopuszcza się ujęcie tematu humorystyczne, formę wierszowaną oraz uzupełnienie listu rysunkami. Rozmiar nie powinien przekraczać 100 wierszy (rozmiar obszernego listu). Rękopisy czytelne, pisane po jednej stronie papieru, rysunki wykonane czarnym atramentem lub tuszem, przesyłać należy do dnia 5 stycznia, do redakcji „Polski Walczącej" (Obóz Główny, budynek C 1, obok świetlicy). Najlepsze prace będą ogłoszone w naszem piśmie. Nagrodzeni autorzy listów otrzymywać będą „Polskę Walczącą" przez kwartał bezpłatnie.

Redakcja „Polski Walczącej" prosi o nadsyłanie wszelkich materjałów literackich, rysunkowych i fotograficznych do sekretarjatu, który mieści się w Bibljotece Obozu (budynek C 1 obok świetlicy).

obficie rośnie. Panicznie zacząłem bać się nalotów. Przypomniały mi się opowiadania starych żołnierzy z wojny światowej, którzy mówili, że do wybuchów granatów artylerji można się tak przyzwyczaić jak do słuchania radja. Nie wierzyłem im, a teraz stanowczo twierdzę, że bujda. Do głosu śmierci nikt się nie przyzwyczai, chyba ten, który już go nigdy nie będzie słyszał. Może na nim nie robi to już tak wielkiego wrażenia, jak nie robiło na mnie, lecz nie tęgo czułem się słysząc szum motorów, a jakoś mdło mi się robiło, gdy słyszałem huk bomb i czułem podmuch powietrza.

Jechaliśmy w kierunku Sartowic. Cała szosa była zawalona uchodźcami. Przeważnie kobiety, żony i rodziny kolejarzy, policjantów, wojskowych i urzędników. Z walizkami, tobołkami, a nawet dziecinnymi wózkami Lecz cóż to?! Samolotów nie słychać, ani widać, a ludność jakaś strasznie zamieszana! Słychać terkot karabinu maszynowego. To dywersanci niemieccy dali znać o sobie. Poukrywani w wiklinach nadwiślańskich otworzyli ogień do kompanji rezewry policyjnej i ewakuowanego tłumu. Słyszałem bzyk pocisków koło uszu. Ludzie rzucili się na ziemię. Między rannymi powstał tumult, zamieszanie ogromne.

Kompania rezerwy policyjnej otworzyła na ślepo ogień w kierunku wiklin, przechodząc potem w formalne natarcie. Walka stawała się coraz silniejsza. Odgłosy jej rozchodziły się coraz szerszym echem. Po jakich 10 minutach strzały karabinowe ucichły.

Oglądamy skutki tego spotkania. Jeden ranny na samochodzie został zabity, trzech innych zostało zranionych powtórnie. Zabitego zostawiliśmy w rowie szosy. Leżał z otwartymi oczami utkwionemi w niebo, jakgdyby prosił Boga o sprawiedliwość. Słychać było płacz kobiet i przekleństwa mężczyzn. Samochód ruszył. Tu i ówdzie spotykało się trupy ludzi leżących na drodze i po rowach. Jakaś dziewczynka może dwunastoletnia, a może nawet jeszcze młodsza leżała na szkarpie szosy, z rękami rozrzuconemi w bok, tylko kosmyk jasnych włosów poruszany powiewem wiatru muskał ją po twarzy.

W dniu tym byłem jeszcze raz świadkiem niszczenia i zabijania ludności cywilnej.

Stanisław Sikorski

Zygmunt Haupt: Współpraca polsko-angielska (Strzelec w berecie i Szkot w spódniczce)

OBRAZKI z OBOZU

Był w plutonie strzelec Drozd (jeśli się komu jego nazwisko nie podoba, dodam odrazu, że jest ono — jak i wszystkie inne w tem opowiadaniu — zmyślone). Taki to był młodzik, że można mu było dać najwyżej 16 lat. Chwalił się jednak, że ma aż siedemnaście. Z racji jego młodego wyglądu zacząłem mu odrazu mówić przez «ty». W pierwszy, czy też drugi dzień ćwiczeń, w czasie przerwy, mieliśmy następującą rozmówkę:

— Powiedz mi, mały, — a nie żal ci było wyjeżdżać z Belgii?

— Coby mi tam miało być żal, jechało nas przecież czterech bratów. Jeno matka to tak płakała, tak płakała...

— Jakże to — mówię czterech was braci jest w obozie?

— A pewnie, dwóch jest w naszej kompanji i dwóch w sąsiednim plutonie, u kapitana W.

— To nikt nie został z matką? A co ojciec robi?

— Ojca to przytłukło w kopalni, będzie już pięć lat. A z matką została dziewucha, co ma trzynaście lat i już robi w «kolejce» i brat. Nie chcieli go wziąć do wojska, bo jest za mały.

— A ileż on ma lat?

— Ech, dzieciak, dopiero piętnaście...

Uważacie, czytelnicy, «nie chcieli» go wziąć. To znaczy, że razem ze swymi czterema starszymi braćmi stanął na ochotnika piętnastoletni Jan Drozd, ale uznali go za zbyt młodego i nie wzięli.

Nie martw się, Janku Droździe, młodziku o gorącem sercu. Za rok, dwa, trzy i na ciebie kolej przyjdzie.

A ty, matko Drozdowo, nie miej żalu w sercu, że aż cztery ptaki wyfrunęły z Twojej klatki. I choć nad balją stoisz dzień cały, matroną polską jesteś, Pani Drozdowa, boś dobrze synów do służby Polsce przygotowała.

— — — — — — — — — —

Z powodu tego młodego Drozda miałem kiedyś rozmówkę z resztą plutonu. Przychodzi do mnie kilku chłopców, miny jakieś poważne, i szeregiem stanąwszy, pytają:

— Powiedzcie, panie podchorąży, czy się na nas gniewacie?

— Cóż to za delegacja, — pytam — i o co miałbym się na was gniewać?

— A bo my tu przyszli od wszystkich kolegów z plutonu zapytać się, czy się pan podchorąży na nas nie gniewają. Bo na tego Drozda, to pan podchorąży zawsze «ty» mówi, a do nas tylko przez «wy».

Co miałem im odpowiedzieć? Od tego dnia wszystkim chłopcom w plutonie mówię «ty». Bardzo są z tego zadowoleni, nawet ci, którzy są dwa razy starsi ode mnie. Powiadają, że to ich «odmładza».

— — — — — — — — — —

Wogóle ci ochotnicy z Belgji to dobre wojsko. Oczywiście dopiero od czasu, kiedy skończyły się przywiezione z domu pieniądze, a wraz z niemi wycieczki do sąsiednich «estaminetów», smutno się czasem kończące.

W tych chłopcach widać, że — choć krótko są w wojsku — zdają sobie sprawę, czem ono jest. Widać to z ich stosunku do broni. Kochają i szanują swe karabiny, jak prawdziwi żołnierze. A oto dowód.

W kompanji uroczysty dzień. Rozdanie karabinów. Natychmiast potem pierwsza musztra chwytów z bronią. Przychodzę do jednej z drużyn i pytam:

— Powiedźcie mi, dlaczego chwyty bronią wykonuje się na «baczność»?

Padają różne odpowiedzi, a to, a owo. Aż przychodzi niespodziana, ale właściwa, jedyna:

— Z szacunku dla broni!

Kiedy komenderuję plutonem, wyprężam się sam w najbardziej przepisowej postawie. Nie tylko dlatego, że tego wymaga regulamin. Wiem, że stoję przed prawdziwymi żołnierzami.

Zygmunt Przeginia

LIST DO ŻOŁNIERZY

Do Obozu nadszedł list adresowany: Do żołnierzy z Polski. Uznaliśmy, że jego prostej i wzruszającej treści niepodobna podać do wiadomości w sposób łatwiejszy, jak za pośrednictwem łamów „Polski Walczącej". Oto treść listu:

KOCHANI ŻOŁNIERZE Z POLSKI

Chociaż się nie znamy z bliska młodzież K.S.M.P. z Rouvroy pozdrawia was wszystkich i jest dumna, że Polska ma takich dobrych i odważnych synów. My też kochamy Polskę i przez to was kochamy i pragniemy razem z wami walczyć za wolność naszej ukochanej Ojczyzny. Niech żyje żołnierz Polski — Niech żyje Polska. Jeżeli chcecie pisać, możecie pisać do naszego proboszcza Ks. Berka, który nam list odda i będziemy korespondować z wami.

Miłe pozdrowienia dla wszystkich.

Rouvroy 26. XI. 1939

(Adres: ks. B. Berk — Dyrektor K.S.M. P. w Rouvroy — P. de C.)

Najbliższy gwiazdkowy numer „Polski Walczącej" (4-5) będzie zawierał osobną wkładkę ilustracyjną: „Żołnierze polscy przed szopką betlejemską", wykonaną w linorycie według rysunku Edmunda Ernesta.

Prosimy punkty sprzedaży o wcześniejsze zgłaszanie zapotrzebownia na ten numer, aby umożliwić Administracji ustalenie wysokości nakładu.

Zygmunt Haupt: Współpraca polsko-francuska (Wsparcie ogólowe)

„Gdy po cwiczeniach wolny mamy czas...”

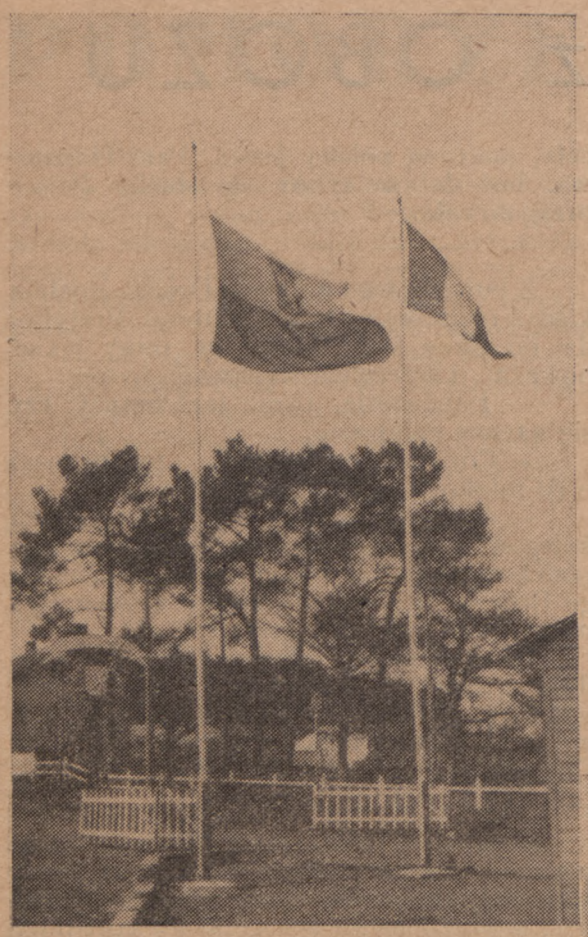

Bratnie sztandary u wejścia do obozu

Chwila odpoczynku w koszarach

Przy radju w świetlicy

W herbaciarni (Na ścianie widoczna część fresków wykonanych przez M. Walentynowicza, A. Żywa, T. Lipskiego, J. Natansona i K. Zielenkiewicza)

Obietnice srebrnego ekranu w francuskim „Foyer du Soldat”

Kronika obozowa

Nad wartownią u wejścia do Obozu, pomawianego przez Charles le Goffic z Akademji Francuskiej, że gościł kiedyś legjony rzymskie, każde tchnienie wiatru rozwija dzisiaj pod niebem wyniosłem, dwie jednocześnie chorągwie: francuską i polską. Mieszcząca się pod niemi biała tarcza z krzyżykami, niby powiększona dziesiątka trefl, to poprostu płaszcz gronostajowy, trzymany przez dwa wspięte charty — herb Bretanji i bodaj także godło obozu.

Jeżeli idzie o klimat, którym w Paryżu straszyło się nieraz ludzi słabego ducha, przypominając, że w Bretanji wilgoć i deszcze, mgły i wiatry — wywodzące się od tego słowa pojęcie aklimatyzacji, całą pełnią znalazło zastosowanie w życiu mieszkańców obozu. Nie mówię tu o t. zw. „członkach założycielach" czyli rozproszonej już dziś grupie ludzi przybyłych do Obozu na samym początku, mówię poprostu nawet o „szerokich masach" obozowego społeczeństwa. Niejednemu wyraźnie służy. Nie chcę powiedzieć, żeby zbyt częste deszcze były szczególnie zdrowe, ale życie tutejsze poprzez ruch na świeżem powietrzu, i wogóle ogromne ilości tego świeżego powietrza, nawet w barakach, przez niewygody i konieczność podciągania się pod pewne minimum sprawności fizycznej, dla tych, którzy jej nie posiadali — hartuje i po pewnym czasie godzi nawet wrażliwe organizmy z nieuniknionym tutaj chłodem i figlami kapryśnej często pogody. Starsi panowie niektórzy mó-

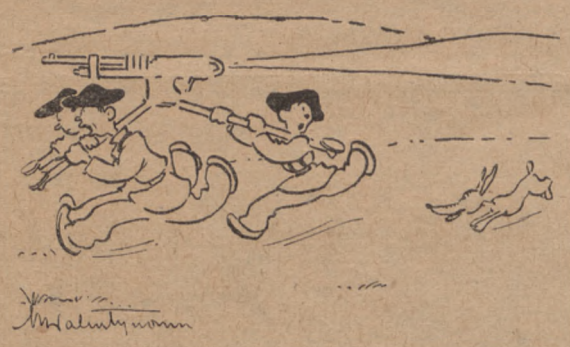

wią, że świetna kuracja (zamiast jeździć do wód), i z zadowoleniem już po kilku tygodniach pokazują, że im się pas dopina o parę dziurek dalej, ściśnięty na objętości brzucha bez nijakiego wysiłku.

Bo też przemiana życia cywilnego na wojskowe odbija się zazwyczaj wcale dodatnio na procesach przemiany materji. Mundur podkreśla wprawdzie wrodzoną czyjąś niezgrabność czy nieporadność, wydobywa w człowieku i przerysowuje te elementy, które wojsko podciąga pod określenie „ofermy", niemniej przeto w najczęstszym wypadku posiada właściwości i wpływy wyraźnie odmładzające. Wystarczy zaczerpnąć przykład z któregokolwiek kursu, na których byli profesorowie uniwersytetu, wyżsi urzędnicy, doktorowie praw i filozofji, a choćby nawet i zawodowi oficerowie schodzą do roli uczniów i przypominając sobie gimnazjalne czasy, skłonni są nieraz do zabaw w czasie wykładów, których nie powstydziłby się żaden sztubak. Nic lepiej nie ilustruje swoistej atmosfery odprężenia, jaka tu może panować. Humor jest — mimo wszystko. I na tem także polegają higjeniczne wartości obozowego klimatu.

Materjał ludzki jest zresztą tak obfity i różnorodny, że byle inicjatywa nie zawiodła, łatwo stosunkowo zorganizować rozrywkę każdego rodzaju. Znalazły sie naprzykład doborowe, choć improwizowane ekipy pilkarzy nożnych, którzy co sobotę albo niedzielę rozgrywają na placu sportowym zacięte mecze. Bylo już nawet spotkanie polsko-francuskie. Plac niebardzo może odpowiedni, pogoda nie dopisuje, deszczyk siąpi i ślisko biegaczom, a mimo to dopisuje przedewszystkiem publiczność, gęsto obstawiająca boisko i biorąca namiętny udział

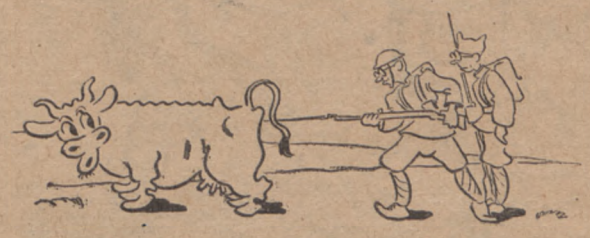

w dramatycznym przebiegu gry. Nic jej oczywiście nie bawi bardziej, niż widok gracza, kiedy w biegu do pilki poślizgnie się na mokrej glinie i z rozpędu na siedzeniu lądując, jak na ślizgawce pojedzie po placu. Nic to, że gra obfituje w te nadprogramowe wydarzenia, że gracze umorusani bywają błotem, jak kominiarze — gdyby nie codzienne zajęcia i wczesny mrok, boisko mogloby liczyć na nich stale, bez względu na pogodę.

Tylko, że teraz ostatnio porozbijano zespoły. Rekruci podgotowani wojskowo pomaszerowali z obozu do swoich kwater poza nim. W przeddzień takiego wymarszu, jednego z wielu, zaszedłem wieczorem do baraku pierwszej kompanji pierwszego pułku. Żołnierz w niej doborowy. Z niego to rekrutował się przecież ten oddział, który w Paryżu na uroczystościach 11 listopada reprezentował armję polską.

Wszystko tu teraz przygotowane do przedstawienia, izba z estradą w końcu, na niej zasiadła orkiestra. Miejscowa, własna, a jakże: saksofon, skrzypce i akordeon. Brak basu rozwiązało się w sposób pomysłowy: kijem od miotły po podłodze raz w tę, dwa razy w tamtą, do taktu. Basuje się takim sposobem do złudzenia prawdziwie. Zespół rżnie od ucha, różne marsze i tańce, jakby nic innego nie robił od początku świata. A dobrali się przecież dopiero tutaj, w kompanji.

Całość programu jest zresztą od początku do końca improwizowana. Tak jak i speaker radjowy w meloniku i przyprawionych wąsach z mikrofonem, który stanowi puszka od konserw na tyczce. Wieczór jest pod znakiem CKM, ale nie tej pukawki, tylko hasła trzech słów: Co kto może. Może wiele przedewszystkiem zapowiadacz, który bez chwili wahania wypełnia przerwy między numerami konferansjerką pełną dowcipów i aktualności. Do nazwiska wykonawców dochodzi za każdym razem tytuł: strzelec bez cenzusu. Lepszym dostaje się drogą wyjątku dodatek: z półcenzusem.

Czego tam niema w programie. Jest naprzykład strzelec bez cenzusu, ale z bardzo przyjemnym głosem, który śpiewa piosenkę po włosku. Jest solo skrzypcowe. Jest dalej inscenizacja piosenki: «Stoi ułan na widecie». Ułan w prowizorycznym i bardzo fantazyjnym mundurze, z manierką niby kołpak na głowie i pokrywami na uszach, wjeżdża konno. Konno — to znaczy na zgiętych grzbietach dwóch kolegów pokrytych prześcieradłem, jeden od głowy, drugi od ogona (zrobionego z miotły). Wierzgają pilnie, tak, że się ułan dobrze musi trzymać w siodle, by mu się koń nie skończył przed skończeniem piosenki. «Dziewczyna jak malina» chodzi, zbierając jakieś fikcyjne kwiatki do benzynowej blaszanki, która w normalnem życiu baraku służy za kosz do śmieci. Popis tych konnych zalotów jest sztuką iście cyrkową. Koń by się uśmiał. Kiedy piosenka dochodzi wreszcie do strofy: «Jam nie taka, dam buziaka...» publiczność dosłownie pokłada się z radości i śmiechu.

Składają pozatem wizytę w kompanji ludzie z Marsa, którzy mają twarze namalowane na brzuchach, dalej wojsko abisyńskie, które demonstruje musztrę z karabinami, wreszcie wodzowie szczepów indyjskich. Ci ostatni w olbrzymich turbanach, na czubie których niby w gniazdku mieści się manierka. Dłuższe przemówienie jednego z nich kończy się wezwaniem kilku kompanijnych towarzyszy, z którymi, sądząc po wybu-

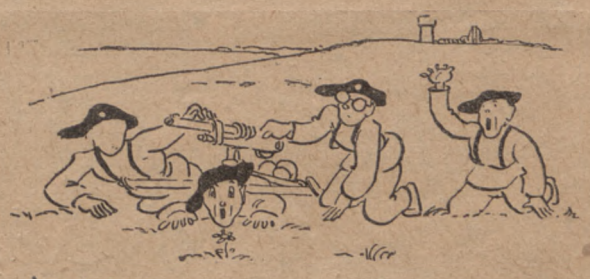

chach śmiechu, jakie następują po każdym z nazwisk, społeczność kompanijna ma zapewne coś na pieńku. Niech się upokorzą przed przybyszami z dalekich stron! Nie wszyscy jednak są tacy odważni. Ale znaleźli się ochotnicy — tamtych zastąpią. Padają na twarz przed wodzami indyjskich szczepów. Ci wówczas poczynają wolno nachylać ogromne turbany. A z manierek, umieszczonych na czubku każdego, leje się delikwentom srebrnym chlustem woda za kołnierz. Sala nie posiada się z uciechy. To było dobrze zrobione. Brawo wykonawcy.

Orkiestra wygrywa ludowe tańce, polskie i francuskie. Tańczą z zacięciem, pokazowo. Potem dowódca kompanji śpiewa przy mandolinie piosenkę, oklaskiwaną gorąco.

Minęła godzina wieczornego apelu, ale nie kończy się jeszcze zapał wykonawców i słuchaczy. Trzeba już tylko rozkazu, aby ich spać położyć. Bawiliby się do rana, stać ich na to temperamentem, talentami i pomysłowością.

Tak wyglądał jeden piękny wieczór w gromadzie żołnierskiej polskiego obozu.

Aleksander Janta-Połczyński

„Tak jest, panie kapralu!”

KAJTEK: — Oo rany, Feluś, to ty kochana mordo?

KAPRAL FELUŚ: — Na baczność stawaj ofermo i mów: panie kapralu, strzelec Kajtek melduje posłusznie, że zna pana od dziecka. Bardzoby się pan generał Sikorski gniewał widząc, że szeregowcy niedość jego młodszych kolegów po szarży szanują.

KAJTEK: — Panie kapralu, melduję posłusznie, żem z Rumunji przyjechał i na ochotnika do wojska wstąpiłem.

KAPRAL FELUŚ: — No dobrze, teraz nas nikt nie widzi to możemy sobie po koleżeńsku — nie służbowo porozmawiać. Jak ci się tu podoba w obozie?

KAJTEK: — Już przeszło tydzień w kompanji jestem, a nikt po bieliznę do prania nie przychodzi. Kuchty omijają nasz barak czy co?

KAPRAL FELUŚ: — A wiesz jak żołnierze angielscy śpiewają:

Jak masz mamo co do prania
Daj nam, to na linji tego drania
Zygfrydasa — powiesimy
wszystko ładnie wysuszymy...

Widzisz, że nawet Anglik, co ma na usługi maharadżów pierze sobie sam gacie, a ty za kobietą się oglądasz?

KAJTEK: — Co będzie z tą linią Zygfryda, której przejść niesposób?

KPR. FELUŚ: — A z obozu przez bramę na miasto bez przepustki można przejść?

KAJTEK: — Niby nie.

KPR. FELUŚ: — Jak kogo bardzo przypili to boczkiem, naokoło i przeciśnie się. Z tą linją tak samo — od morza do morza przecie nie biegnie, znajdzie się na nią rada.

KAJTEK: — Czy ten Niemiec Boga w sercu niema? Jak czytam co w Polsce wyrabia to choć kolegę – ale kopnąć z pasji muszę.

rys. Andrzej Rubinrot

KPR. FELUŚ: — Jeden stary pułkownik niemiecki to w Poznaniu codzień do kościoła chodził. Zakradłem się raz za nim, by podsłuchać jaki też on może mieć interes do nieba. Słyszę, modli się stary łobuz:

— Panie Boże daj mi jeszcze kiedyś w życiu zbombardować jakąś katedrę, jak reimską — to taka przyjemność!

Djabeł go wysłuchał — nie Pan Bóg, ale się doczekał i w Polsce sobie nażywał.

KAJTEK: — Wolę najgorszą świnię od najlepszego Niemca. Ale powiedz mi Feluś, czemu w Polsce wojsko nasze chodziło czwórkami, a tutaj trójkami?

KPR. FELUŚ: — Bo nas tu mniej, to żeby się dłużej rozciągnęło i wyglądało na więcej.

KAJTEK: — Hee, to może i po dwa karabiny każdemu dadzą.

KPR. FELUŚ: — Nie, każdy dostanie po jednej armacie. A jak będziem wchodzić do Polski to tylko tych wpuszczą, co przynajmniej 10 Niemców zabili.

KAJTEK: — Psiakita! To wszyscy kucharze przed szlabanem zostaną; szkoda!

KPR. FELUŚ: — Nie zostaną, bo znajdą się dobrzy koledzy, co ich wyręczą i ciachną po 20 szwabów. Robić swoje to największa w wojsku zaleta. Pierwszego dnia wojny w Warszawie kobiece P. W. zapisywało ochotniczki, przyłazi jedna gruba:

— Co pani jest z zawodu?

— Kucharka.

— Świetnie, będzie pani gotować w kantynie.

— Ja nie chcę gotować, ja chcę na front!

KAJTEK: — Aha, teraz rozumiem; jedliśmy obiad w naszym baraku, aż tu wchodzi porucznik; służbowy krzyknął: — bacznooość! Zerwaliśmy się na nogi, a porucznik skinął ręką i mówi: — dalej robić! to wszyscy siedli i znów w menażkach grzebią, tylko ja wybałuszyłem oczy i zapytałem: – kiedy ja nic nie robię to co mam dalej robić panie poruczniku?

Nic pochlebnego o mym rozumie nie usłyszałem wtedy.

KPR. FELUS: — Naucz się matołeńku, że w wojsku najlepiej, jak ci szarża coś powie tylko w dach uderzyc i krzyknąć: — tak jest!

KAJTEK: — Onegdaj na ćwiczeniach wciąż ruszałem z prawej nogi. To sierżant szef mnie sklął. To ja mu tłumaczę, że tak mi wygodniej. To on wrzasnął: — cóż ty uważasz, żem idjota co nawet musztry nie zna? To ja w dach i odpowiadam: — tak jest panie sierżancie! To dostałem wnet 15 razy: «padnij» «powstań» w nagrodę za służbistość.

KPR. FELUS: — Kajtek, ty chyba byłeś ostatnio jakimś starostą czy czem takiem, żeś tak zgłupiał. Odmaszerować!

Strzelec Zbych

Motyw: „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas...” w ujęciu karykaturzysty

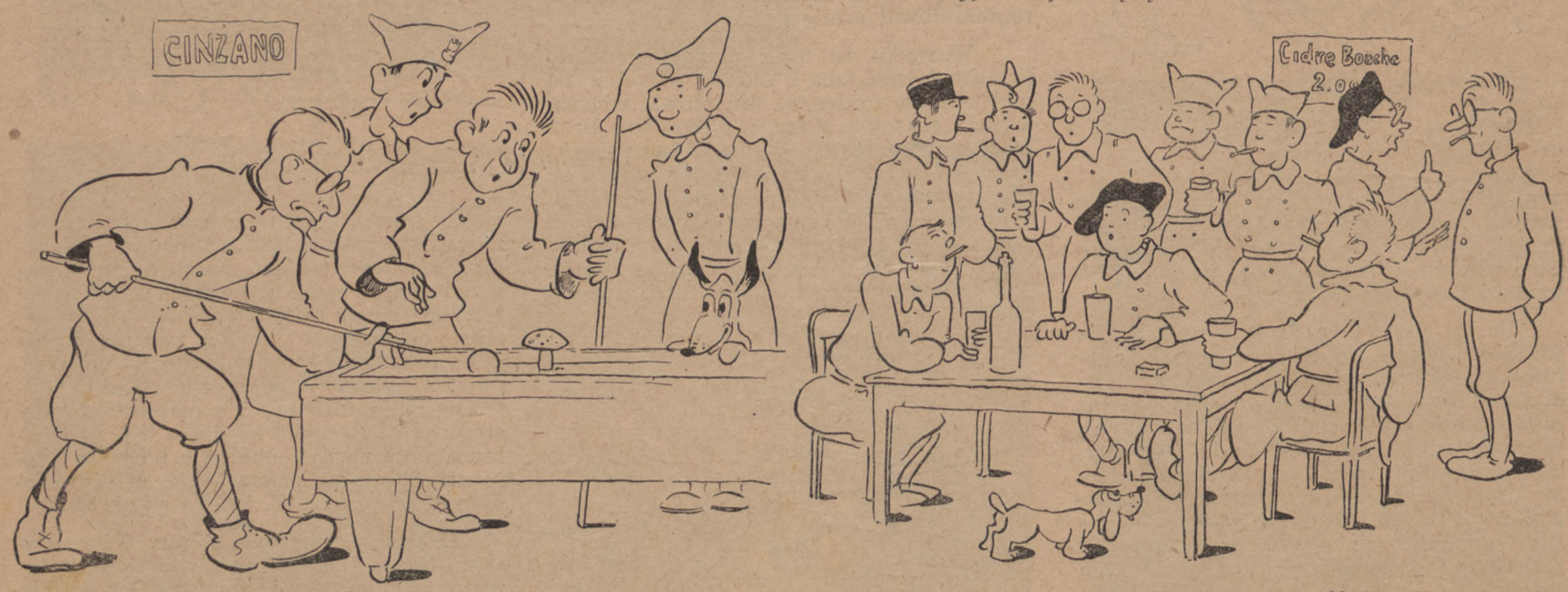

rys. Marjan Walentynowicz

Spis treści numeru trzeciego:

Antoni Bogusławski: Koleżeństwo broni — K. T: Wieści z okupowanej Polski — Pieśń Konfederatów Barskich — xxx: Neutralni — Stanisław Sikorski: Pomorze w ogniu — Konkurs: „Nasza nowa kwatera” — Zygmunt Przeginia: Obrazki z Obozu — List do żołnierzy — „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas...” (Kolumna fotograficzna) — Aleksander Janta-Połczyński: Kronika Obozowa — Strzelec Zbych: „Tak jest panie kapralu!” — Rysunki: Zygmunta Haupta, Andrzeja Rubinrota i Marjana Walentynowicza.

Cena numeru — 1 fr. Prenumerata kwartalna — 10 fr.

Ceny ogłoszeń: strona — 500 fr.; 1/2 strony — 280 fr.; 1/4 strony — 150 fr.; 1/8 strony — 75 fr.; 1/16 strony — 40 fr. Ogłoszenia przyjmują punkty sprzedaży

Imprimerie Edoneur; 65, Avenue du Mail, Rennes.

Le Gérant : J. Ramage